



## Stanisław Srokowski

## część VII z VII

Sygnatura notacji: **N0344**

Data urodzenia: **29.06.1936 r.**

Data nagrania: **26.06.2023 r.**

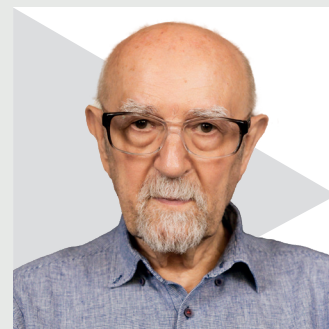
Miejsce nagrania: **dom świadka, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60min, część II: 58min, część III: 55min,  
część IV: 44min, część V: 60min, część VI: 50min,**

Format nagrania: **video** **część VII: 54min**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Artur Kłus:** Dwa wspomnienia z pana książki, bo jest na przykład 1974 rok, gdzie wspomina pan rozmowę z panią Ireną Rajską, gdzie jest mowa, że ona sugeruje, że składa pan rezygnację z pracy. Pan mówi, że nie składa, a ona mówi: „Mówiono mi, że to już się stało”, i podczas tej samej rozmowy, rozmawiacie o przyszłości, że tak powiem, pisma, mówimy o „Odrze”, i pan sugeruje jej, że będzie pani robiła to dobrze, a ona mówi: „Jeśli nie popełnię samobójstwa, bo nie chcę żyć w kłamstwie”. Więc mam wrażenie, że oni byli świadomi jakby pana wiedzy, kogo ma pan po drugiej stronie, ale z drugiej strony pisze pan też o tych właśnie drugich osobach, pisarzach, artystach, cytuję, że: „Niektórzy z nich nie wytrzymywali siły zła, odbierali sobie życie, wyskakiwali przez okna, truli się, wieszali. Taką cenę płaci się za nadwrażliwość. Ja też byłem na tej granicy, ale zwyciężyła moc przetrwania”.

**Stanisław Srokowski:** Tak, ja rzeczywiście w pewnym momencie byłem świadomy, że już tutaj mnie śledzą, i bałem się, że wykryją moją podziemną działalność w „Solidarności Walczącej”. Tego się najbardziej bałem. Tego się bałem. I pamiętam taki epizod, kiedy wracałem z klubu dziennikarza wieczorem, a mieszkalem wtedy na Sępolnie, to jest taka dzielnica Wrocławia, kiedy ruszyłem z klubu dziennikarza, to za mną ruszył samochód. Kiedy ja skręciłem na lewo, ten samochód za mną. Kiedy skręciłem na prawo, ten samochód za mną. Wolno jechał. Więc było wyraźnie widać, że ktoś mnie śledzi. I śledził mnie do momentu, kiedy nie znalazłem się pod tym domem, w którym wtedy mieszkalem. Kiedy ja wszedłem na schody i zajrzałem jeszcze przez okno, samochód dopiero odjechał. Więc wiedziałem, że jestem pod obserwacją. Czyli wiedziałem, że bezpieka mnie śledzi. To już była ta druga część lat 80. Pokazuję różne obrazy z tamtej rzeczywistości, żeby pokazać zróżnicowanie i dramatyzm całej tej sytuacji. Dramatyzm także tego środowiska literackiego. Ten wątek, kiedy rozmawiam z redaktorką, która ma zastąpić mnie na stanowisku, z którego

mnie wyrzucają po alarmach Siedzieniewskiego, sekretarza komitetu wojewódzkiego, to rzeczywiście było takie spięcie, które miało powiedzieć, że nawet ci, którzy byli po stronie komunistycznej, w pewnym momencie musieli zdawać sobie sprawę, że znajdują się po stronie zła. Bo pani Rajska, która była cenzorką wcześniej, a później w redakcji naszej dziennikarką, była kobietą wrażliwą. Bo to tak czasami bywa, że zło się łączy z dobrem. I w niej coś takiego właśnie było. Bo być cenzorem to nie jest dobre. Ale być wrażliwym to jest dobre. A więc mamy w jednej kobiecie te dwie cechy. I ona wtedy mi powiedziała, kiedy mnie wyrzucano z tego stanowiska, że ona czuje to, ona wie, że żyje w takiej rzeczywistości. I tak to było. Wielu rzeczywiście pisarzy było dręczonych, było poniewieranych, było gnojonych, cierpiało, z różnych powodów. Wielu popełniło samobójstwo. Za moich czasów przynajmniej kilkoro aktorów pamiętam. Jednego aktora z Teatru Grotowskiego, Elżbietę Drzewińską, Natalię Gall, która popełniła samobójstwo. Twórcy, którzy żyli w tym samym czasie co ja. Którzy miotali się z tymi problemami. Jak żyć w tym systemie? Jak sobie radzić? Jaką drogę wybrać? W którym kierunku iść? To były problemy, na które musieliśmy sobie odpowiedzieć. Bardzo trudne czasy. Bardzo trudne czasy, ale także czasy wymagające pewnego heroizmu moralnego. Trzeba było wbrew wszystkiemu dokonywać wyboru tych wartości, które dla człowieka są najważniejsze. Czyli wolność, duma, godność, prawda. To są cechy, które człowiek szanujący siebie i szanujący swoją rzeczywistość wewnętrzną, dokonywał takich wyborów. Ale to jest zawsze taki wybór. W każdej sytuacji, w każdej rzeczywistości. To jest to, co człowiek robi, co powinien robić.

**Artur Kłus:** I też mimo tego, że pan był ciągłą obserwacją Służb Bezpieczeństwa i były też w środowisku literackim różne osoby, o których tutaj zostało już to wspomniane, to chyba w 1977 roku został pan wybrany do zarządu oddziału do ZLP, Zrzeszenia Literatów Polskich.

**Stanisław Srokowski:** Związek Literatów Polskich, tak. Tak, ja byłem zastępcą prezesa. Prezesem był Worcell wtedy. Ja tam w tej książce opisuję to dość dokładnie. Środowisko miało do mnie zaufanie, jak widać, bo żeby być wybranym, to trzeba mieć zaufanie środowiska. Ale powiem jeszcze o swoim, skoro mówimy już o tym, że nawet tacy ludzie jak ja, który się nie poddawał, miałem chwilę takiego dramatycznego wyboru, kiedy wiedziałem, że po tym, kiedy mnie wezwali tam do bezpieczki, żeby ostrzec kolejny raz, że jestem na niebezpiecznej drodze, kiedy ten samochód za mną jechał, kiedy tam jeden kolega popełnia samobójstwo, koleżanka popełnia samobójstwo, druga koleżanka, to wiedziałem, że to gdzieś tam zbliża się do mnie, że ja jestem w takiej sytuacji, że ja muszę sobie z tym poradzić. Ja miałem taki moment, że też bliski byłem, nie bójmy się tego słowa, że też byłem bliski utraty życia. Bałem się tego. Że albo mi się może coś stać, albo sam sobie coś zrobię. Bo naciski były, taka atmosfera była. Zawsze coś tutaj wokół nas się działo złego. Ten ginie, ten umiera, ten wiesz się, jeden z kolegów powiesił się na klamce, drugi też. Straszne rzeczy się działy po prostu. To dopiero z perspektywy widać, jak bardzo restrykcyjny, jak bardzo porażający był ten system, jak zniewalał. To nie polegało na tym, że przy pomocy jawnych narzędzi się to robiło. To się robiło przy pomocy plotki, intryg. Ileż musieliśmy znosić intryg, każdy z nas, wokół nas. Ile plotek się pojawiało na każdego z nas. A były to plotki rozsiewane zarówno przez środowisko własne, ale też przez bezpiekę. Jednym z narzędzi pracy bezpieki jest intryga. To jest sianie zamętu w umysłach. Tak że skoro mówiono mi: „Słuchaj, a ten, a ta, a tam to robi to i to”, to ja musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, kto to mówi. W jakie intencji to mówi? Dlaczego to mówi mnie? Czyli musiałem odgadnąć wiele rzeczy. To odgadywanie było niezwykle bolesne, bo czasami mówiono o moich najlepszych przyjaciółach, że są na przykład zdrajcami, agentami, a nie byli. A ci, którzy byli, to o nich nie mówiono. Takie

różne pomieszane rzeczy się działy. Tak że to był dramat. To był dramat. Żyliśmy w wielkim dramacie, mimo że z tego dramatu wyrastały wielkie postacie. Mówię o postaciach kultury.

**Artur Kłus:** Z jednej strony ściga pana bezpieka, a z drugiej strony różne wydawnictwa w kraju proszą o pana utwory. I też mnie najbardziej w pamięci utkwiła jedna sytuacja, kiedy w ogólnopolskim konkursie wydanym przez Ministerstwo Kultury pan otrzymuje dwie nagrody...

**Stanisław Srokowski:** Na dramaty.

**Artur Kłus:** Tak, dramaty. Wspomina pan, że: „W normalnej rzeczywistości każdy normalny lokalny teatr brałby te dramaty na pniu, ale nie we Wrocławiu. We Wrocławiu Srokowskiego się nie wystawia. Jelenia Góra wystawi, Wrocław nie”. I chyba Wałbrzych, tak?

**Stanisław Srokowski:** Tak. Szczecin jeszcze wystawiał mnie tutaj.

**Artur Kłus:** Jak pan przyjmował takie sytuacje?

**Stanisław Srokowski:** Podejrzewam, że były jakieś tajne instrukcje. Musiały być tajne instrukcje do dyrektorów tych placówek, że, owszem, tego Srokowskiego tolerujemy na poziomie jeszcze tego życia obyczajowego, tych spotkań, tych klubów, tych debat, dyskusji, natomiast jeżeli idzie o wyniesienie go na jakieś wyżyny artystyczne, no to już tutaj blokada jest absolutna. I rzeczywiście, gdyby to kogokolwiek innego spotkało, gdyby otrzymał pierwszą nagrodę, to wszystkie teatry grają w całej Polsce. Wszystkie. Nie tylko wrocławskie, ale wszystkie. A tutaj nie. Czyli zakaz, czyli byłem na czarnej liście. Czyli byłem na jakiejś czarnej liście, o której nie wiem, kto ją sporządził, w jakim zakresie ona była, ale w każdym razie miałem dość duże ograniczenia. Ale powiem państwu o rzeczy, o której nie mówiłem, a która też z tym się wiąże. Jest rok 1979, jeszcze nie ma Solidarności. Minister kultury Włodzimierz Sokorski, były minister kultury, bo on wtedy już nie jest, ale były minister kultury, organizuje spotkanie środowisk twórczych, młodych środowisk twórczych, w Lidzbarku Warmińskim koło Olsztyna. Mnie również na to zapraszają, bo wtedy jestem jeszcze młody, mam dość duży dorobek, już tam w kręgach artystycznych o mnie sporo wiedzą ludzie, więc zapraszałem mnie na to spotkanie. Jadę. Odbyla się dyskusja. Referaty wygłaszają dwaj wtedy znani, wielcy ludzie, ale pod względem moralnym bardzo mali, czyli Włodzimierz Sokorski, minister kultury, i Kazimierz Koźniewski, który był w „Polityce” redaktorem, a równocześnie agentem bezpieki. I ja jestem na tym spotkaniu, i oni dwaj z pozycji tych bonzów, tych napuszonych, wielkich postaci komunizmu, wygłaszają referaty, które mają zniszczyć moje środowisko. Mówią najgorzej o polskiej literaturze, polskim filmie. I ja tego słucham, i jestem wściekły. Bo ja wtedy walczę o odnowę literatury, ja wtedy jestem jednym z twórców poezji lingwistycznej, która oczyszcza język z tych złożeń komunizmu, walczę o prawdę w literaturze, wydaję te swoje książki, z wielkim trudem, ale wdaję, a tutaj Sokorski i Koźniewski atakują takich jak ja i mówią, że to jest zła droga, że wybraliśmy złą drogę, że to jest droga, używając ostrego języka, antysocjalistyczna. I ja wtedy byłem piekielnie zdenerwowany. Ja na ogół wtedy nie występowałem publicznie z mównicy, bo moja wrażliwość na to nie pozwalała, ale byłem tak podekscytowany, tak wściekły na ich wystąpienia, że podniosłem rękę i powiedziałem, że chcę coś powiedzieć. Jak oni głosili te swoje tezy, to ja miałem

notes i zanotowałem sobie co bardziej obrzydliwe ich wystąpienia, i zanotowałem to, co chcę powiedzieć, co chcę powiedzieć za chwilę publicznie. Robiłem notatki sobie. Zrobiłem te notatki i kiedy nadeszła moja pora, żeby wystąpić, zostawiłem te notatki przez zapomnienie, w nerwach, i poszedłem po prostu z gołą głową, żeby mówić. I zacząłem atakować tam Sokorskiego publicznie, ministra kultury wówczas byłego, i jednego z najważniejszych dziennikarzy w „Polityce”. „Polityka” wtedy to było pismo niesamowite, autorytatywne, z nim się wszyscy liczyli. A tutaj jakiś prowincjonalny pisarz, Srokowski, występuje na mównicy i zaczyna atakować ministra i wielkiego dziennikarza. I co się dzieje? Ja wracam na swoje miejsce, kończy się narada, jest kolacja, siedzę w towarzystwie tam jakichś krytyków literackich, pisarzy, reżyserów, bo to było to grono. W pewnym momencie pojawia się Sokorski i przeprasza mnie, czy mógłby ze mną porozmawiać na chwilę. Żebym się oderwał od tego towarzystwa. Dobra. Przepraszam towarzystwo, wstaję i idę. I Sokorski mi mówi mniej więcej następującą rzecz: „Proszę pana, pan wystąpił bardzo ostro przeciwko mnie, niepotrzebnie. Dlatego, że pan nie wie, kim ja jestem”. Ja mówię: „Jak to nie? Wiem, kim pan jest. Były minister, generał, szef telewizji niedawno jeszcze”. „No tak, ale nie o tym mówię. Pan nie zdaje sobie sprawy, że ja takich jak pan ratuję, że ja pomagam takim jak pan”. Ja mówię: „Jak to? Przecież pan tutaj plół takie bzdury przeciwko nam, przeciwko takim jak ja?”. „Pan się myli. Ja panu powiem coś. Był taki Dunikowski, Ksawery Dunikowski, wybitny rzeźbiarz. W latach stalinowskich, bo to już były 1979 rok, Stalina już dawno nie ma. I ten rzeźbiarz, Dunikowski, który mieszkał w Krakowie, także we Wrocławiu, po części w Warszawie, wziął udział... my jako Ministerstwo Kultury w latach 50. zorganizowaliśmy konkurs na wielką rzeźbę Stalina. Bo byliśmy jedynym »demoludem«, który nie ma rzeźby Stalina. Węgry, Bułgaria, wszystkie kraje mają Stalina, który stoi i tam, głosi chwałę komunizmu, a my nie mamy. Ogłosiliśmy konkurs. Bierze w tym konkursie udział między innymi Dunikowski, największy wtedy rzeźbiarz, I my przychodzimy, kiedy już prace powstały, bo to wymagało co najmniej roku, przychodzimy do jego pracowni, on odśłania i wszyscy stoimy sparaliżowani. Bo tamta rzeźba się nie podobała na pierwszym spotkaniu, druga się nie podobała, to może Dunikowski. Przychodzimy do niego, on odśłania, zdejmuje to płótno. Porażeni jesteśmy, zdumieni. Przed sobą widzimy potwora. Nie Stalina, tylko potwora. Wielka pięść zaciśnięta na piersi. On tak mi mówi, Sokorski. „Byliśmy przerażeni. I wie pan...” ... dlaczego on to mówi?, „wie pan, gdyby to trafiło na kogoś innego, to ten Dunikowski już by nie miał nic do powiedzenia w Polsce. Zablokowaliby go. Ale ja jako minister nic nie zrobiłem, żeby mu zaszkodzić, wbrew temu, że zrobił takiego strasznego Stalina. Przez Dunikowskiego nie mamy Stalina w Polsce. Pomnika nie mamy. Bo on zablokował. Gdyby zrobił dobrego Stalina, to byśmy mieli. Niech pan na mnie spojrz...”... to mi mówi, „niech pan na mnie spojrz z tej perspektywy. Ja jestem byłym ministrem wolnościowym”. Wprost mi tak powiedział. „Liberalnym. A pan mnie atakuje? »Panie Srokowski, pan nie wie, co pan robi«„. Tak mi powiedział ten Sokorski. Dlaczego w tej scenie mówię? Dlatego że ona bardzo ważna jest dla innej mojej książki. Ona się w tej chwili ukazała dopiero co. Dwie miłości licealisty. To jest książka, która opowiada o buncie młodego pokolenia w latach 40., 50. Zna pan tę historię, kiedy licealiści wystąpili przeciwko komunizmowi? Tak jak moi. Ci o których ja wspominałem. Z Dębna. I ja napisałem o nich teraz książkę. I jednym z bohaterów jest ta rzeźba, niby Stalina, która jest potworem. W tej książce występuje ta rzeźba. Gdyby mi tego Sokorski nie powiedział wtedy, nie byłoby w tej książce tej rzeźby. Pokazuję państwu, jak splatają się czasami odległe relacje z wydarzeniami tego typu no i pokazują równocześnie charakter pana ówczesnego ministra kultury, Sokorskiego, który chciał siebie wybielić po tym przerażającym, głupim wystąpieniu na tym spotkaniu. To dodam, bo to jest ważne.

**Artur Kłus:** Ja też... Bo pan mówił, że to było w 1979 roku.

**Stanisław Srokowski:** W 1979 roku, tak.

**Artur Kłus:** Ja mógłbym zacytować pana z 1978 roku, czyli ten sam okres. Mówimy właśnie o tym środowisku i o wpływaniu na to środowisko. I pan tutaj mówił: „Ja wciąż walczę. Może to wojna mnie zahartowała. Wiem, że im bardziej chcą mnie zniszczyć, tym bardziej chcę pisać i tworzyć, ale nieraz stoję nad przepaścią”. Czyli tak jak pan mówił na początku, że te losy wojenne to też zahartowały, i to też później mogło przełożyć się na te lata 70., końcówkę lat 70., kiedy wpływ Służby Bezpieczeństwa na środowisko literackie był coraz mocniejszy.

**Stanisław Srokowski:** Tak, to prawda. To dowodzi jeszcze jednego, czyli tego wątku, który podjąłem na samym początku, że o tym, kim my jesteśmy, kim się stajemy, jakie zajmujemy postawy, to już dzieciństwo wpływa na to w dużym stopniu. I wojna, w moim przypadku, wojna. Bo wojna ukształtowała wtedy moją postawę jako człowieka, który zdaje sobie sprawę, że sam musi dokonać wyboru, sam. Nikt nie może tutaj na niego wpłynąć.

**Artur Kłus:** ...Rok 1980, bardzo szybko przeszliśmy do stanu wojennego. Jak pan wspomina ten wybuch, jest wybuch Solidarności, związku zawodowego, i mamy kilka miesięcy, dochodzi do różnych demonstracji, różnej atmosfery. Jak ten okres... Jakby pan jeszcze mógł ze swojej perspektywy o nim powiedzieć.

**Stanisław Srokowski:** Rodzenie się ruchów wolnościowych w Polsce dla mnie było wielkim wyzwaniem i wielką nadzieją. To się wpisywało w mój kodeks wartości. To gdzieś tam po drodze widziałem takie wysepki wolności, jak mówiłem, 1968 rok, marzec, bunt, później ten węgierski zryw, później te inne różnego rodzaju działania, które w różnych miejscach się, i w Europie, i w Polsce, pojawiały, ale to, co zdawało mi się, że już prowadzi ku takiemu wyzwoleniu duchowemu... bo ostatecznie wszystko się sprowadza do tego, jaką będziemy mieli wolność. Czy ograniczoną, czy serwowaną w jakichś tam fragmentach, czy pełną wolność, która wyzwala w człowieku najlepsze cechy, najlepsze wartości. I kiedy się pojawiła Solidarność, ale już przed Solidarnością to się czuło, narastanie... coś takiego jak atmosfera. Mówimy, że jest atmosfera, która zmienia rzeczywistość. Już ludzie inaczej patrzą, już inaczej się ze sobą kontaktują, już inaczej ze sobą rozmawiają, czują, że nadchodzi jakaś wielka zmiana. To tak jak jest z pogodą, że pojawiają się chmury i wiadomo, że będzie deszcz. I tutaj jest taka podobna sytuacja. Kiedy ten Winciorek przyszedł do mnie, kiedy się rodziła „Solidarność Chłopska”, później, kiedy się rodziła „Solidarność Robotnicza”, później, kiedy się rodziła Solidarność Kornela, „Solidarność Walcząca”, to ja wiedziałem, że następuje odrodzenie ducha narodu. To jest dla mnie najważniejsze. Czyli w tym duchu narodu odrodzi się też moja osobista wolność, tak że dokonają się moje osobiste wybory, już nikt mnie nie będzie ograniczał, już będę mógł robić to, czego pragnę, i to, do czego moja dusza jest przyzwyczajona od dawna. Ja myślę, że w tym samym stanie było bardzo wielu ludzi w Polsce. I później bardzo wielu ludzi było straszliwie zawiedzionych, kiedy nastąpił stan wojenny. To było jak siekiera, którą przecięto tamtą rzeczywistość. Kiedy tyle nadziei włożyliśmy, kiedy tyle wysiłku, kiedy tyle pracy dokonaliśmy, kiedy tyle cierpień, kiedy tyle śmierci było wśród nas, i nagle to wszystko zostaje przełamane, zniszczone, zdegradowane, zrujnowane. Jaruzelski to jest straszliwa kreatura, która dokonała straszliwej masakry w polskich duszach przede wszystkim. Niszczyła tę najczulszą tkankę ludzkiej natury. Ja pomijam ten wątek polityczny, społeczny, ale wyniszczał ludzi od środka i to jest najgorsze. Tak że takie mam wrażenie. Dodam tylko ten wątek związany z 1979 rokiem i z Lidzbarkiem War-

mińskim. Bo wtedy, kiedy ja wyszedłem z tej mównicy, usiadłem obok tych, którzy siedzieli wcześniej koło mnie, nie wiedziałem o tym, że obok mnie siedzi agent. Skąd się o tym dowiedziałem? Dowiedziałem się o tym, kiedy zacząłem przygotowywać powieść *Życie wśród pisarzy, agentów i intryg*. Otrzymałem dokument z IPN-u z Olsztyna, który mówi, że wtedy, kiedy ja występowałem na mównicy, obok mnie siedział agent, który dokładnie notował wszystko, co ja mówię i co ja zapisałem. I wymienia cechy tej notatki, którą tam zostawiłem na tym siedzeniu, idąc na mównicę, i ten agent cytuje, donosząc tam opinie [bezpieczeń] lokalnej, co ja mówiłem i jak się zachowywałem. Tam są niesamowite rzeczy. Opowiada o mnie, jakim ja jestem strasznym człowiekiem, antykomunistą, który miał w tych notatkach zapisane, że komuniści to jest zło, że komuniści to jest nieszczęście, że z komunistami trzeba skończyć. Tego typu. Ta notatka jest tutaj, w tej książce. Tak że możecie ją państwo otworzyć. To dla ciekawości.

**Artur Kłus:** Wrócę jeszcze do 1981 roku, bo chociażby wtedy jest marzec, pobicie w Bydgoszczy działaczy Solidarności, i późniejsze miesiące, i czy pan przypomina sobie, czy w tej atmosferze ruchu Solidarności była też ciągła obawa, że to chwilę potrwa, że teraz mogą wejść Rosjanie, czy o tym się mówiło i czy to jakoś pan może pamiętać?

**Stanisław Srokowski:** Pamiętaliśmy Węgry 1968 roku. Wiedzieliśmy, że komuniści, że Sowieci są brutalni, bezwzględni i mogą dokonać inwazji. Lęk przed agresją sowiecką dość mocno się zaznaczał także w moim myśleniu, co się zdarzy, co się stanie, ale równocześnie przeciwstawna myśl się pojawiała, że doświadczenia węgierskie, doświadczenia czeskie, a także wcześniejsze doświadczenia polskie, 1956 roku, mogą wskazywać, że jednak nie odważą się uderzyć na Polskę, bo mają w pamięci historyczne doświadczenia Polaków, wiedzą, że Polacy się tak łatwo nie poddają i uderzenie Sowieców na Polskę może im nawet przynieść klęskę. Tak, ja wtedy też myślałem, że gdyby uderzyli, to może to się tak stać. A jeżeli tak się może stać, to w ich głowach może powstać znak zapytania, czy warto uderzyć na Polskę. W mojej głowie wtedy się rodziły takie pytania, że raczej nie uderzą, bo będą się bali, pamiętają, wiedzą doskonale, powstanie listopadowe, powstanie styczniowe, powstanie Orłąt Lwowskich, powstanie wielkopolskie, powstanie śląskie, jedno, drugie, trzecie. Słowem Polska była krajem, który był państwem powstań, zrywów, buntu. I ja sądziłem, ja byłem przekonany, że raczej nie uderzą. I myśmy rozmawiali o tym. Z Kornelem też. To było też w głowie Kornela. Uderzą czy nie uderzą? Kornel, wydawało mi się, sądził, że uderzą. Takie miałem wrażenie. Ja uważałem, że nie uderzą. Taka dyskusja się toczyła i ona się toczyła w wielu domach i w wielu gremiach. W każdym razie to był czas próby, wielkiej próby wytrzymania tego napięcia. Sowieci są tutaj, są ich wojska, są ich bazy, są ich czołgi no i potężna armia, która jest za plecami, na wschodzie. Ale z drugiej strony wielkie doświadczenia historyczne, które są za nami również. Być może wahali się, na pewno brali to pod uwagę, ale ruch Solidarności był już dużą siłą. To nie były Czechy, to nawet nie były Węgry. To było 10 milionów obywateli polskich. A biorąc pod uwagę rodziny i tak dalej, to było pół narodu. Porwać się na rozlew wielkiej krwi, który może się nie tylko skończyć rozlewem tej krwi w tym kraju, oni musieli brać pod uwagę inny czynnik, czy to się rozleje na całą komunistyczną Europę. I tego pewnie się bali. Nie tylko bali się tego, że to w Polsce się może stać, bo być może kalkulowali, że nawet za cenę wielkiego rozlewu krwi poradzimy sobie, ale jeśli wzięli pod uwagę Niemcy, Węgry, Rumunię, Bułgarię, Litwę, Łotwę, Estonię, Ukrainę, Białoruś, no to już był problem. To już nie jakaś ta mała ruchawka. To już był wielki zryw narodów. To był 1848 rok, wielkie ruchy narodów w Europie. Oni się tego chyba bali. Tak jest mój pogląd.

**Artur Kłus:** A już w stanie wojennym bierze pan udział w ogromnej manifestacji rocznicy podpisania porozumień



sierpniowych, czyli 31 sierpnia 1982 roku. Pan wspomina i o tym, że... rzucało racami, gazem łzawiącym...

**Stanisław Srokowski:** Petardy. Ja pamiętam petardy, które koło moich nóg leciały.

**Artur Kłus:** ...bitwy na kamienie. Jakby mógł pan trochę opowiedzieć o tym dniu.

**Stanisław Srokowski:** Ja do dzisiaj pamiętam petardy, które zatrzymywały się u moich nóg i trzeba było je albo kopać, albo brać w rękę i z powrotem odrzucać. To robiliśmy. Wielkie manifestacje, ogromne masy ludzi, wielka determinacja. Wielkie poruszenie charakterów, ale równocześnie tam za nami nasze matki, nasze babcie, nasze córki. Strach, co się stanie. Znowu będą pałować? Znowu będą zamykać? Aresztować? Bić? Taka scena. Gonią, już rozpraszając te manifestacje, bezpieka, milicja. Goni dużą grupę ludzi, w której ja także jestem, zażawione, bo gazy, zażawione oczy. Uciekamy w centrum miasta, w stronę kościoła. Nie ma innego miejsca, do którego można uciec, tylko kościół w pobliżu. Cała gromada, wpadamy do kościoła i w tym samym momencie kapłan jest na ambonie i wygłasza kazanie. I ludzie... do teraz, jakbym słyszał, woła, to był taki moment symboliczny: "I diabeł ukazał się przed nami". Tak jakby mówił, że tuż za naszymi plecami jest ten diabeł. Przecież on mówił w innym kontekście, mówił w kontekście religijnym. A tutaj ten polityczny diabeł za nami. I wszyscy wbiegliśmy do tego kościoła, i tak przerażeni, z jednej strony, czy uderzą na kościół, czy wejdą do środka, a z drugiej strony ten kapłan, który jak gdyby... intuicja powiedziała, wyczuła, żeby powiedzieć, kim oni są? Kim oni są, ci, którzy za nami, ten diabeł? Ten diabeł niestety wszędzie był wtedy. Pod kościołami, pod bramami, pod kamienicami, pod domami. Ale z drugiej strony była pokazana ta siła narodu. I to było ważniejsze. To nie ważne, że tam pobito kogoś, że wsadzono do więzienia, że tam aresztowano tego, tamtego, że zagazowano. Jak wróciłem do domu, miałem oczy całkowicie ślepe. Byłem tak zagazowany wtedy, że żona mówi: „Boże, chyba do szpitala pójdź”. Tyle tej trucizny było w oczach. A ja myślę, że jeżeli patrzymy na te demonstracje polityczne, to najważniejszą cechą ich był hart ducha, mobilizacja społeczeństwa wobec własnego charakteru ducha. Że my mamy rację. Wy możecie mieć czołgi, broń, Stalina za sobą, Lenina i czort wie kogo, ale my mamy rację. Bo my bronimy podstawowych norm, zasad ludzkich, społecznych. To jest najważniejsze. Myślę, że taki charakter to była wartość.

**Artur Kłus:** Zapytam jeszcze o Stanisława Helskiego. Czy poznał go panu bliżej i jakby można o nim parę słów?

**Stanisław Srokowski:** Stanisław Helski to dla mnie bardzo piękna i bardzo szlachetna, i bardzo heroiczna postać. Był rolnikiem, a równocześnie człowiekiem z ogromną wolą walki przeciwko systemowi. Właściwie to była postać heroiczna w tym sensie, że on właściwie był sam. Że do momentu, dopóki nie dołączył na przykład do tej grupy, którą ja tworzyłem, to on mi opowiadał o straszliwej samotności, że nie ma nikąd pomocy, że tam bezpieka go przesładuje, że tam z ziemią miał jakieś problemy, tam z jego domem były jakieś problemy. To wszystko dzisiaj jest opisane. W każdym razie spotykam go na ulicy Świdnickiej w Legnicy, kiedyś idę, i pytam: „Panie Stanisławie, co u pana?”. A wcześniej napisałem do niego list, że popieram go. Te listy są tam w jego dokumentach. Jego syn, który w tej chwili działa, nawet przypomniał mi w którymś momencie, że ma moje listy do Helskiego. I pytam go: „Co tam u pana?”. A to już było po tym, kiedy on kamieniem uderzył Jaruzelskiego. Pytam, czy go nadal nękają. Mówi, tak, ciągle mnie nękają, ciągle jestem w złej sytuacji. W złej sytuacji psychicznej był. On miał takie poczucie, że z jednej strony system

go tutaj zniszczy, ale z drugiej strony chyba nie do końca wierzył, że te ruchy wielkie polityczne mogą go ocalić. Jakoś w nim nie było takiej wielkiej siły wewnętrznej. On oczekiwał czegoś innego. Ja myślę, że on oczekiwał jakiejś rewolucji, jakiegoś większego buntu, jakiegoś większego zrywu. Że dokonamy wielkiego zrywu i on wtedy jako ten jeden z najbardziej poszkodowanych, bo on był rzeczywiście poszkodowany tam materialnie, tam nad nim się znęcali i tam były jakieś duże problemy z jego gospodarstwem. I on wtedy tak mówi: „Panie Stanisławie, no niestety nie jest ze mną dobrze”. I psychicznie był w złym stanie. Ale jako człowiek dla mnie to jest postać naprawdę szlachetna, uczciwa, rzetelna i absolutnie godna zaufania. To był wielki bojownik o prawa człowieka, jeżeli użyjemy takiego wyświechtanego pojęcia, no i także o własną godność, bo o to walczył. To dla niego było najważniejsze.

**Artur Kłus:** Kiedy pan mówił, że w 1983 roku, tak w początku roku, jakoś tam pan trafia do tego Lubina i tam jeszcze jest żywa ta historia tamtych demonstracji w sierpniu, gdzie wówczas ludzie dostają wyroki, są skazywani...

**Stanisław Srokowski:** No i gdzie giną ludzie.

**Artur Kłus:** I gdzie zginęli ludzie, oczywiście, tak. I jedną z osób, która została oskarżona i skazana, był Jan Stanisław Zabielski, czyli członek pana rodziny.

**Stanisław Srokowski:** Tak, to jest brat żony mojego brata, bratowej. Ciągnęła się za nim taka legenda nieustraszonego bojownika o wolność. Ja z nim korespondowałem później. On napisał nawet książkę o tamtych wydarzeniach i ja chciałem mu pomóc ją opublikować tutaj w Polsce. On był strasznie katowany, jak poszedł do więzienia. Był strasznie katowany, strasznie bity, znęcano się nad nim w sposób przerażający. On opisuje dokładnie to, co z nim robiono, a mimo to nie podał się. Rzeczywiście kazano mu siedzieć na nodze od krzesła, te tortury, które wobec niego stosowano, to były najokrutniejsze komunistyczne tortury, jakie można sobie wyobrazić. On był właściwie wrakiem człowieka po tym wszystkim. Zanim się on odbudował, w Australii, bo on później zamieszkał w Australii, to przeżył wielkie piekło. To jest postać pomnikowa. Właściwie Lublin powinien postawić jego pomnik, być może postawią kiedyś. Zasłużył na to. Mogę powiedzieć, że z punktu widzenia czysto ludzkiego, to był człowiek skromny bardzo. To nie był ktoś, kto się pchał na afisze, który żąda poklasku, posłuchu, chwały. Nie, to był zwykły, nazwijmy to, robotnik, który po prostu postanowił własnymi rękami wyzwalać siebie samego i swoje otoczenie z kleszczy komunizmu. Tak on to widział i tak on to robił, i tak tego dokonywał. Takich postaci, właśnie takich małych wielkich postaci, my mieliśmy w Polsce bardzo dużo. Małych wielkich. Małych, gdzieś tam w małej prowincji, ale wielkich w swoich zasadach, w swoich normach. No przeżył piekło. I nie wiem, co się z tą książką stało, bo ja ją wysłałem do Lubina, do środowiska, które on mi wskazał. Czy ona się okazała w Lubinie, tego nie wiem. Powinna się była okazać. W każdym razie to jest jeden z tych takich godnych szacunku i podziwu, dużego podziwu, ludzi z tamtej epoki. Myślę o nim czasami.

**Artur Kłus:** Jak pan jeszcze odnosił się i reagował na cenzurę, która dotyczyła pana powieści, wierszy, pana twórczości, gdzie dla przykładu podam, że przed wejściem na rynek międzynarodowy były blokowane przed tłumaczeniem pana książki czy chociażby książka dotycząca repatriantów, przez kilka lat była blokowana. Czyli ta cenzura była wobec pana bardzo sroga.



**Stanisław Srokowski:** Sroga to za mało powiedziane. To było totalne z wielkim młotem nieustające uderzenie w moją głowę. Ja z cenzurą miałem od samego początku duże problemy. Wtedy, kiedy budowałem tę swoją poezję lingwistyczną, i w późniejszym okresie, kiedy jej charakter się nieco zmieniał, i pamiętam, to chyba był rok tuż przed upadkiem Gomułki, a wstąpieniem tego katowickiego sekretarza. Proszę przypomnieć. Kto koło Gomułkę zastąpił? Też zapomniał pan.

**Artur Kłus:** Gierek.

**Stanisław Srokowski:** Gierek, właśnie.

**Stanisław Srokowski:** To był 1969 rok, tak?

**Artur Kłus:** 1970. Po wydarzeniach grudniowych.

**Stanisław Srokowski:** Grudniowych, tak?

**Artur Kłus:** W 1971 rok.

**Stanisław Srokowski:** 1971 rok, tak. Dlaczego o tym wspominam? Bo w 1969 roku w wydawnictwie krakowskim miała się ukazać moja książka poetycka. Dzwoni do mnie redaktorka tej książki, Ewa Lipska, i mówi, że książka jest zatrzymana, ponieważ cenzura na nią siadła. Pytam, czy w całości. Nie w całości, ale w dużej części. Ale musimy książkę zatrzymać. Chyba pan zrezygnuje z tego, z tego i z tego. Ja mówię, pani Ewo, ja nie zrezygnuję z tego i z tego. A ona mówi, jest tutaj jeden wiersz, który szczególnie niepokoi cenzurę. I wiersz ten zaczyna się następująco: „A po kraju krząją słuchy, że dyrygent całkiem głuchy”. On ma dalszy ciąg. I cenzura przyczepiła się do tego wiersza, uznając, że to jest metafora, że ta orkiestra... że ten dyrygent to jest pierwszy sekretarz partii, Gomułka. Że pan atakuje tutaj Gomułkę. Ja mówię, ja tam nie mówię o Gomułce, ja mówię, że dyrygent jest głuchy. „A po kraju krząją słuchy, że dyrygent całkiem głuchy”. I tam coś jeszcze, taka ludowa pieśń jak gdyby. I pani Ewa mówi mi: „No, panie Stanisławie, dopóki pan nie zrobi z tym porządku, to ja nie mogę tej książki dalej puścić, bo cenzura mi nie pozwoli po prostu”. Ja mówię: „Pani Ewo, mamy rok 1969. Niech pani poczeka jeszcze miesiąc, dwa”. A ta taka atmosfera już narastała. „A myśli, pan, że coś się zmieni?” Ja mówię: „Tak, myślę, że coś się zmieni”. I minęły te dwa miesiące, i nagle Gomułkę zastępuje Gierek. Pani Ewa dzwoni, mówi: „Puszczamy”. Trzeba było dokonać... W jednym krótkim okresie ten sam wiersz ma inne znaczenie. Już nie obejmuje Gierka, już nie obejmuje Gomułki, ale już także nie obejmuje Gierka, tylko staje się po prostu jakąś parabolą, jakąś literacką przenośnią, nie ma znaczenia politycznego. Więc cenzura siadała. Cenzura siadała na kolejnych moich książkach, a największa cenzura siadła na moje książki, które miały być przetłumaczone na języki obce. I tych książek przetłumaczonych na języki obce przynajmniej było siedem-osiem. Już były albo przetłumaczone, albo tłumacze siedzieli na nich. Ale niestety nie można było ich opublikować, ponieważ cenzura polska przekazała informację gdzie indziej... Bezpieka, krótko mówiąc, bezpieka przekazała informację, że tych książek nie należy. W związku z tym oczywiście moja sytuacja byłaby zupełnie inna dzisiaj na rynku światowym niż ta, którą mam obecnie, ponieważ tamte książki, te wielkie książki jak Repatrianci, te wszystkie książki kresowe, byłyby dzisiaj

w obiegu światowym. Nie są, bo nie zostały przetłumaczone. Cenzura zadziałała.

**Artur Kłus:** Pisał pan, że: „Kilku agentów okazało się moimi znajomymi, kolegami, a dwóch wręcz przyjaciółmi”. Więc był pan w pewnym sensie może nie otoczony, ale tych agentów w pana środowisku było sporo i tu jest bardzo ciekawy przykład, o którym pan wspomina, malarza Przemysława Krajewskiego, taki przykład, gdzie pan mógł się bezpośrednio zderzyć po latach jako taki przykład. Jakby mógł pan opowiedzieć o tym...

**Stanisław Srokowski:** Muszę państwu powiedzieć, że to dla mnie duży dramat był. To był wielki artysta, wielki malarz, o bardzo wysokiej kulturze, Kresowiak, nawiasem mówiąc, a właściwie posiadał wszystkie cechy, które kazały go uwielbiać. Szanowany przez środowisko artystyczne, bardzo wysoko oceniany. I nigdy bym nie przypuszczał, że to jest agent. Ja się z nim spotykałem bardzo często. Rozmawiałem, dyskutowałem, debatowałem, urządzaliśmy wspólne spotkania. Nigdy nie przypuszczałem, że w jego głowie siedzi coś takiego jak agenturalna działalność. A okazało się niestety, po latach, znowu po latach, tak samo jak Orski, tak samo jak Worcell, tak samo jak paru innych, także Krajewski, czy, powiedzmy, szef Pantomimy, Tomaszewski, czy Dzieduszycki, wszyscy moi znajomi. Gdzieś tam kręcili się, ja gdzieś tam ich spotykałem. Niektórzy byli bardzo blisko, jak Worcell, czy Krajewski. I teraz, co ma zrobić człowiek, który go szanował, tak jak ja, ceniał jako artystę? Ja panu powiem, co ja zrobiłem. Kiedy się dowiedziałem, że on jest agentem, kiedy pisałem swoją książkę i znalazłem papiery, że on donosił, przyszedłem do niego i powiedziałem: „Słuchaj, wiem, że byłeś agentem”... Uczciwie mu powiedziałem. To nie jest takie proste. Niech pan swojemu przyjacielowi powie, że jest agentem. A on był moim przyjacielem. Powiedziałem: „Jesteś agentem, wiem o tym, ale możesz oczyścić się. Może się oczyścić. Zrób to, proszę cię. Jeżeli nie wierzysz, że wiem, że jesteś agentem, to pokazuję ci, że jesteś agentem. To pokazuję ci, tu, twoje donosy. Podpisane przez ciebie”. Pełno tych donosów było. A on nic, milczy. Ja mówię: „Krzysiek, na Boga, odezwij się, powiedz coś”. A on milczy. Nie mogłem z nim się dogadać. Wyjechałem wtedy, bez porozumienia żadnego. Później jeszcze do niego napisałem. „Krzysiek, zrób to, przynajmniej moralnie się oczyścisz. Powiedz: »Byłem agentem. Zrobiłem krzywdę temu, tamtemu, innemu«. Tamci ludzie przez ciebie cierpieli. Zrób coś”. Nie zrobił tego. I ja bardzo nad tym ubolewam, bo mógł to zrobić. Ale nie miał w sobie tej siły. Okazało się, że coś było dla niego ważniejsze. Co? Nie wiem. Taka była historia z Krajewskim.

**Artur Kłus:** I tak na zakończenie chciałbym zapytać, czy Wrocław jest kresowy? Czy tu jest dużo...

**Stanisław Srokowski:** Tak.

**Artur Kłus:** Jak pan...

**Stanisław Srokowski:** Wrocław w legendzie jest kresowy. W legendzie. Mówimy, Wrocław to Kresy. Ale w rzeczywistości Wrocław jest, powiedziałbym, wielonarodowy. Gdybyśmy chcieli dokumentalnie powiedzieć, jak jest Wrocław z mieszanki narodowej, to powiedzielibyśmy, że Wrocław stanowił elitę kulturalną, artystyczną, literacką, kresową. Czyli uczeni, badacze, profesorowie, artyści, pisarze we Wrocławiu stanowili mniej więcej sześćdziesiąt parę procent. Przybyli ze Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola i oni tutaj organizowali życie kulturalne, oświatowe i twórcze, ale po części też medyczne. Ostatni rektorzy czy ostatni rektor uniwersytetu i politechniki lwowskiej był pierwszym

rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego i Politechniki Wrocławskiej. Naczelne stanowiska w kulturze, oświacie, w nauce zajmowali kresowianie. Z tego punktu widzenia Wrocław jest kresowy. Ale z punktu widzenia większości kresowej już nie jest kresowy, ponieważ ci, którzy stanowili czołówkę, szczyt tylko tych elit intelektualnych, to byli z Kresów. Ale to były szczyty. Natomiast masy, mieszczenie, urzędnicy, robotnicy, kolejarze i tak dalej, to już byli ludzie nie tylko z Kresów. Z kresów też. Ale to byli ludzie z Mazowsza, z Wielkopolski, z kieleckiego i z krakowskiego. Tak że mieszanka ma inny charakter. Intelktualnie, naukowo to są Kresy i pod tym względem Wrocław jest absolutnie kresowy, po wojnie tutaj na przykład było bardzo dużo ulic kresowych, które się tam jakoś nazywały, Ruska i inne, do dzisiaj zresztą są, była „Kawiarnia kresowa”, do dzisiaj jest na przykład „Kawiarnia Lwowska”. Tu się czuło ducha Kresów nawet w nazewnictwie. Kabarety... Nawet Dzeduszycki, który przecież tworzył kabaret własny, z takim lwowskim zaśpiewem, taki jak w moim głosie jest jeszcze ten kresowy zaśpiew, no to było charakterystyczne dla, najogólniej mówiąc, kultury Lwowa. Tak że Wrocław pod względem wagi kultury, sztuki, nauki jest miastem kresowym. Natomiast pod względem ludności jest miastem mieszanym.